

Wakacje z mułłami – cz. 2

12 października 2007

Rano kierowca hotelowy odwiózł nas na lotnisko i dopiero w porannym słońcu i woalu lekkiej mgiełki mogliśmy z zapartym tchem podziwiać piękno tej egzotycznej metropolii. Droga na lotnisko wiodła przez wspaniałe palmowe aleje z hektarami kwiatowych dywanów wyczarowanych z kolorowych petunii, a wokół czuło się ten zorganizowany do perfekcji na zachodni wzór ład i porządek w tym jakże egzotycznym mieście. Podziwialiśmy setki form i odmian arabskich łuków w tysiącach harmonijnych kompozycji, dziwiąc się jak wspaniale można tym wszystkim operować tworząc istne arcydzieła nowoczesnej formy i architektury. Dopiero stąd widać ile tracą zachodnie miasta z ich prostymi suchymi bryłami którym po prostu brakuje duszy.

Loty pomniejszych linii lotniczych odprawiane są w Dubai z maleńkiego i skromniutkiego Terminalu nr 2. W poczekalni byliśmy jedynymi Europejczykami w tłumie powracających do kraju Irańczyków. Ponieważ samolot to terytorium Iranu, wszystkie kobiety były już skromnie odziane, wedle wymagań irańskich przepisów, czyli zakryte od stóp do głów. Żeby się dostosować ubrałam ciemne dżinsy, czarne skarpety, czarne sandały, ciemno-granatową koszulę Krzyśka sięgającą mi dobrze poza tyłek, chusty jeszcze nie zawiązałam bo w tym wszystkim było mi diabelnie gorąco, a bądź co bądź lotnisko to jeszcze Dubai. Z zaciekawieniem przyglądałam się naszym towarzyszom i towarzyszkom podróży. Iranki, te najbogatsze i najbardziej wpływowe, bo tylko takie stać na jakiekolwiek podróże zagraniczne, dobrze i elegancko ubrane. Widać to wyraźnie po fasonach ich "manteaux", lekkich płaszczy podobnych do trenczy, które są minimum przyzwoitego stroju irańskich kobiet, modnych butach na wysokich obcasach i kosztownych, jedwabnych chustach na głowach. Włosów wystawało im trochę, więc odetchnęłam z ulgą, bo moich krótkich nie sposób utrzymać w ukryciu. W kobiecych ubiorach oczywiście przeważa czarny

kolor. Część kobiet, tych bardziej religijnych, czy przywiązanych do tradycji, odziana w burki (czadory, rodzaj namiotu do ziemi) z maleńką szpareczką na oczy. Mężczyźni ubrani po europejsku w najnowsze kroje koszul czy spodni, dla odmiany rozkoszują się przyjemnym chłodem lotniska, podczas gdy ich żony czy córki muszą gotować się w zwojach tkanin bez możliwości zdjęcia czegokolwiek, czy dostosowania odzienia do temperatury. Kontrast pomiędzy tymi średniowiecznymi strojami i nowoczesną technologią jest dosyć zaskakujący. Jakże dziwnie wyglądała Beduinka w burce, z rękami wymalowanymi henną, paplająca jak karabin maszynowy przez swą komórkę.

Moją torebkę poddano szczególnej kontroli, i mimo że nie znaleziono w niej nic podejrzanego, szukano dalej rozbebeszając etui z drobiazgami. Wreszcie prześwietlono ją jeszcze raz i stwierdzono że jest OK. W samolocie konsternacja – siedzenie obok mnie jest wolne, ale Irańczyk, który miał na nie miejscówkę za żadne skarby tam nie usiadzie. Nie jestem jego żoną, a mężczyźni nie wolno siedzieć przy obcej kobiecie. Taki zwyczaj. Ostatecznie stewardessa przetasowała siedzenia, dając nam młodą dziewczynę mówiącą dość dobrze po angielsku. Ta zaraz nas poczęstowała Kit-Katem i zaczęła się bardzo przyjemna, przyjazna rozmowa, o tym skąd kto jest i dokąd jedzie, o rodzinach, pracy, Iranie. Samolot tymczasem przeleciał nad błękitnymi wodami Zatoki Perskiej i znaleźliśmy się nad Iranem. Pod nami jak okiem sięgnąć zupełnie nagie, surowe, szaro-piaskowe łańcuchy górskie. Księżycowy, bezludny na pierwszy rzut oka krajobraz bez roślinności, czy innych oznak życia. Zupełnie niespodziewanie wśród tej martwoty wyłania się rozległa dolina ze sporym jeziorem, szachownicą zielonych pól, rzeką i miastem. To właśnie Shiraz. Lotnisko maleńkie, tylko dwa okienka kontroli paszportowej. Kiedy doczekaliśmy naszej kolejki facet wręczył nam deklaracje wjazdowe do wypełnienia, takim to sposobem posyłając nas znów na koniec. Po przejściu przez kontrolę paszportową weszliśmy do maleńkiej sali wypakowanej tłumem ludzi, kotłujących się między górami bagaży głównie handlowego przeznaczenia,

czekających na kontrole celną. Z przerażeniem dostrzegliśmy absolutnie pusty pas bagażowy. Wyglądało na to, że gdzieś wcięło nam walizki! Tylko tego by brakowało!

Krzysiek wskoczył na ten pas – jedyne wolne miejsce – i stamtąd wypatrzył w kącie ogromny stos bagaży rzuconych jeden na drugi. Z tej kupy wyszarpnął nasze zakurzone i zmiętolone plecaki i nawet jakimś cudem zdobył wózek, chociaż w tłumie trudno było ruszyć się nawet na krok. Wśród tego chaosu niespodziewanie pomógł nam pracownik Informacji Turystycznej. Byliśmy jedynymi turystami i bardzo go chyba cieszyło, że ma wreszcie coś do roboty. Wręczył Krzyśkowi plik kolorowych broszur i map, a potem rozepchnął tłum i, z pomocą paru innych mężczyzn, przeniósł górą nasz wózek wraz z bagażami ponad zasłaną tobołami podłogą. Kazał by otwarto dla nas zamknięte na kłódkę i łańcuch drzwi do korytarza wyjściowego, tak że ominęliśmy kontrolę celną, a potem pomógł nam wymienić pieniądze na miejscową walutę. Za \$US 100 dostaliśmy 80 banknotów po 10 tys Riali – najwyższej irańskiej nominacji. Nie bardzo wiedzieliśmy co zrobić z takim stosem pieniędzy, nie mieściły się ani do portfeli ani do kieszeni.

SHIRAZ

Po wyjściu z lotniska mieliśmy po raz pierwszy okazję obserwować wrażenie jakie robimy na tubylcach. Mężczyźni gapią się na mnie jak na jakieś kuriozum. Kobiety, matrony w czerni od stóp do głów, śmieją się otwarcie i pokazują palcami. Bez wrogości, ale jakoś mi niemiło. Ciekawe dlaczego? Przecież jestem zakryta jak trzeba, nawet włosy podpięłam wsuwką. Widocznie jednak ta koszula i reszta mego ubioru za bardzo odbiegają od tutejszych norm. Na wszelki wypadek odwróciłam się do nich plecami. Ale w ciągu tych paru minut dotarł do mnie ostro fakt, że jestem tutaj przybyszem z zupełnie innego świata do którego ci ludzie nie mają dostępu. Wzięliśmy pierwszą z brzegu taksówkę do hotelu, oczywiście przepłacając dwa razy. Dla rekompensaty chyba kierowca, który mówił co nieco po angielsku, opisywał oglądane po drodze widoki.

Szerokie ulice, wysadzone palmami, na wpół wykończone, albo ledwie zaczęte stalowe konstrukcje bloków mieszkalnych, przydrożne sklepiki i warsztaty, głównie samochodowe, wieże i kopuły meczetów. W hotelu od wejścia mówią nam, że nie ma miejsca i trochę czasu zajęło nam wytłumaczenie, że mamy rezerwację, bo w recepcji po angielsku ani be, ani me. Mają dla nas pokój z europejskim klozetem, ale będziemy musieli czekać 2 godziny. My na to, że wolimy irański kucany wychodek. Ogólne zdziwienie z odrobiną niedowierzania, ale dostajemy pokój od razu. Hotel jest trzygwiazdkowy, średniej klasy tutejszej, z prywatną łazienką, telefonem, lodówką i telewizorem. Ogólnie rzecz biorąc jego standart jest jednak dość niski. Dwa twarde łóżka, pokryta ciemnozieloną, poplamioną i zakurzoną wykładziną podłoga, telewizor, dywanik modlitewny, specjalna gliniana kafelka do bicia czołem o ziemię i strzałka w kierunku Mekki. Łazienka raczej obskurna, choć czysta. Przed drzwiami obowiązkowe w każdym tutejszym domu i hotelu dwie pary tanich, gumowych kłapek, do noszenia tylko w łazience. W środku kucana toaleta, do której nie używa się papieru. Za to obok jest rurka z wodą do wymycia się po posiedzeniu. Spróbowałam tego urządzenia kierując ogromny sik wody na całą łazienkę. Niestety nie ma nawet czym zetrzeć.

Brakuje jednego kompletu pościeli, Krzysiek już się kąpie, no więc chcąc nie chcąc muszę powkładać na siebie te wszystkie łachy i chusty, żeby iść do recepcji. Po zakwaterowaniu się idziemy na pierwszą przechadzkę. Jesteśmy 1200 m nad poziomem morza, górskie rzeźkie powietrze, tylko 27 stopni, ale ja dosłownie duszę się w tych szmatach. Co gorsze, co krok spotykamy się z nieprzyjaznym zachowaniem. To mężczyźni protestują. Gniewne spojrzenia, jakieś potępiające sądząc z tonu i wyrazu twarzy uwagi wygłaszane pod moim adresem. Parę gwizdów. Nieciekawie. Wygląda na to że muszę jak najszybciej kupić tą tutejszą kapotę. Niby nic naprawdę przykrego nas jeszcze nie spotkało, a już czujemy się tutaj wyjątkowo nieprzyjemnie, a to przecie dopiero początek naszej perskiej przygody. Wróciliśmy do hotelu i Krzysiek czyta w przewodniku

paragraf na temat kobiecego ubioru. Wedle tego co tam dosyć ogólnie opisują, to jestem ubrana poprawnie. Z tego co wyczytaliśmy gdzie indziej wynika że podobno tutejsi, a zwłaszcza mężczyźni uważają zachodnie kobiety za nierządnicę bez względu czy są to młódki, czy babcie po pięćdziesiątce w towarzystwie podstarzałego męża. Na wszelki wypadek pytam w "naszej" agencji turystycznej czy jestem odziana wystarczająco cnotliwie. Babka obejrzawszy mnie krytycznie od stóp do głów mówi że tak. Nie po tutejszemu, ale wszystko co powinnam mieć zakryte wedle wymogów religii jest jak trzeba.

Nasz hotel położony jest przy przecznicy głównej alei przecinającej miasto, paręset metrów od centrum. Ta główna ulica to dwie trzypasmowe jezdnie i rozdzielający je wąski pas zieleni. Po bokach zieleńce z trawą i drzewami i chodniki szerokości naszej przeciętnej ulicy. Co trzeci budynek to obłożony marmurami bank. Sporo zaczętych i nieskończonych budynków i placów budowy, z płotami ozdobionymi wypłowiałymi hasłami rewolucji islamskiej, po persku i po angielsku. Co krok restauracyjki serwujące kebab i wyciskane na poczekaniu soki z owoców i marchwi. Mnóstwo sklepów z odzieżą, niestety prawie wyłącznie dla mężczyzn. W każdym całe armie manekinów ustawione rzędami prezentują fasony koszul i spodni. Przeszliśmy chyba trzy kilometry, znajdując tylko jeden mały sklepik z paroma kobiecymi manteaux, ale żaden mi się nie spodobał. Wróciliśmy zmęczeni i sfrustrowani do hotelu. Wbrew temu co pisze przewodnik i opisują inni podróżnicy, Persja przywitała nas, a właściwie mnie, nieprzyjaźnie, a przecież Shiraz to duże, milionowe miasto. Krzysiek twierdzi, że on nic takiego nie zauważył, i czy nie mam czasem jakiejś paranoi, ale ja wiem co widziałam. No więc co robimy dalej?

Postanowiliśmy wybrać się na bazar, gdzie ponoć można wszystko dostać. Szarzeje. Korzystając z wieczornego chłodu całe miasto wyległo na ulice. Przejście przez jezdnię jest niemal niemożliwe. Rzeka pojazdów wypełniająca każdy wolny skrawek drogi, pasy nie pasy, nie zatrzymuje się ani na światłach, ani

na zebrach. Trzeba czekać aż zgromadzi się tłumek miejscowych i ktoś odważny zrobi ten pierwszy krok na jezdnię, a potem przeciskać się z resztą pieszych nieboraków między zwalniającymi niechętnie autami i motorami, patrząc przy tym na wszystkie strony równocześnie. Na wszystkich zieleńcach całe rodziny koczują w namiotach obok swych samochodów. Przed każdym namiotem nieodzowny dywan, kilkanaście poduszek, kuchnia turystyczna i 3 pokolenia rodziny. Wodę do mycia i gotowania czerpią z miejskich fontann. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi zjechało do Szirazu na No Ruz (dwutygodniowe obchody perskiego Nowego Roku) i władze miejskie pozwalają obozować tym których nie stać na hotel, albo dla których zabrakło noclegów.

Dotarliśmy żywi i cali do bazaru. Spodziewaliśmy się czegoś na rodzaju arabskich suków, wąskich, ciemnych zaułków z małymi sklepikami na parę metrów kwadratowych. Tymczasem ku naszemu zdziwieniu znaleźliśmy się w labiryncie szerokich, jasno oświetlonych korytarzy, przykrytych pięknymi XVIII-wiecznymi sklepieniami z cegieł i piaskowca. Po obu stronach skarby z tysiąca i jednej nocy. Sklepy – stoiska z setkami barwnych dywanów, obok inne gdzie na półkach od podłogi do sufitu mienią się przepiękne brokaty, każdy przetykany suto złotą i srebrną nicią. Wszystko oświetlone tak, że aż skrzy się blaskiem i wszystkimi kolorami tęczy aby wabić i przyciągać. Tutejsze kobiety, całe w czerni, grzebią w tych cudownościach, a kupcy ze zręcznością magików rozwijają bele materiału, aby olśnić potencjalnych klientów. Dalej sklepy złotników, z gablotami pełnymi olśniewających złotych i srebrnych filigranów, naszyjników, kolii, kolczyków, zastawy stołowej, sklepy z misternie młotkowanymi w srebrze dzbanami, tacami, bibelotami z żelaza zdobionymi emalią komórkową, sklepy z antykami. Co krok sprzedawcy słodyczy z wyrobami z sezamu, miodu i daktyli na malutkich stolikach. To wszystko robione ręcznie, często na miejscu, w warsztatach na zapleczu, nie dla turystów, ale dla miejscowych ludzi przychodzących tu na zakupy. Nie wiadomo w którą stronę patrzeć i co podziwiać.

Cały ten kilkukilometrowy labirynt korytarzy, podworców i pasaży tętni życiem, pełen kupujących i oglądających. Pochłaniamy to wszystko z otwartymi ustami. Cóż za kontrast ze sterylnymi, klimatyzowanymi supermarketami wypełnionymi masowo produkowaną tandetą. Ile tracą kobiety Zachodu, chłopczyce w sukienkach, nadrabiające dziwactwami najnowszej mody jednostajność i sztampowość zachodnich ubiorów. Ile tracą nieszczęsne Iraniki, zmuszone do ukrywania tych blasków i kolorów pod siegającą do ziemi czernią.

Koniec części drugiej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)